

Tadeusz Sikorski, Hans Urs von Balthasar

„Catholica. Wierzę w Kościół powszechny”, Hans Urs von Balthasar, tłum. Wiesław Szymona, Poznań 1998 : [recenzja]

Łódzkie Studia Teologiczne 7, 357-358

1998

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Hans Urs von Balthasar, *Catholica. Wierzę w Kościół powszechny*, tłum. Wiesław Szymona OP, Poznań 1998, ss. 87.

Niegdyś, czyli jeszcze przed rokiem 1989, Hansa Ursa von Balthasara (1905–1988) nie znaliśmy prawie zupełnie. Owszem, słyszeliśmy o nim wiele, ale nie znaliśmy go z czytania. Pominąć w tej chwili wypada tych, którzy mieli szczęście obcować z książkami publikowanymi w zachodnich językach i którzy czuli głód dobrej książki teologicznej.

Dzisiaj von Balthasara jest już znacznie więcej, choć wciąż mało. Dobrze go chyba pojmował Jan Paweł II, bo nie tylko do niego nawiązywał w swoich przemówieniach papieskich, ale i mianował go kardynałem. Choć nie mam wielkich atencji do godności kościelnych, to wyróżnienie sławy teologicznej przyjąłem z prawdziwą radością. Przypomniałem sobie, jak w konwiczce studenckim w Strasburgu wygrzebywałem z kosza na zbędne papiery odręczne listy von Balthasara, które o. Bouyer wyrzucił po jakichś porządkach. Takie było moje pierwsze, niemalże żywe spotkanie z teologiem olbrzymem. Nie spotkałem go nigdy twarzą w twarz, choć mieszkał niedaleko Strasburga – w Bazylei. Dopiero po latach miałem radość posłuchania go okazyjnie w katedrze Notre Dame w Paryżu, co opisałem gdzie indziej.

Teraz, gdy w sąsiadującej z moim domem księgarni katolickiej widzę na półkach kilka książek von Balthasara, i to w języku polskim, mam zaiste dobroczynne ściśnięcie serca. I ilekroć spoglądam na księgarskie regały, ta radość zawsze we mnie odżywa.

Inne książki, obecne na półkach, pozostawiam sobie do opisania w następnym numerze „Łódzkich Studiów Teologicznych”. Na *Catholica* chcę spojrzeć w tej recenzji. Przecież to skarbnica, której zaistnienia po polsku nie odnotować nie wolno.

Książeczka składa się z siedmiu małych części. Autor nie usiłuje wyczerpująco i systematycznie przedstawić w nich głównych aspektów Kościoła. Zainteresowanych taką, kompletną eklezjologią odsyła do innych, podręcznikowych opracowań. Jemu natomiast chodziło przede wszystkim o to, żeby zatrzymać się przy tych tematach, owszem eklezjologicznych, o których katolicy podczas debat ekumenicznych mówią rzadziej, a nawet próbują je zbagatelizować, traktując je jako mniej ważne, gdy tymczasem szereg takich tematów ma zdaniem von Balthasara niepomiarłą wagę. Dzięki temu unika neutralnego podawania wiadomości religijnych niczym na lekcji katechizmu, a zarazem trafnie umyka z całą głową przed pokusą taniej polemiki teologicznej w duchu kontrreformacji. Jednocześnie zrećnie broni się przed niebezpieczeństwem eksponowania wspólnych z partnerem dialogu punktów doktryny wiary, co byłoby podobne do jakiegoś „tolerancyjno-nieskutecznego kosmopolityzmu” (s. 7).

Chyba z tą uwagą przed sobą należałoby czytać całą broszurę. A warto to uczynić – przy takiej pomocy przeczytać ten niedługi tekst – bo jest on niezwykle prosty i bardzo pożyteczny. Odnosi się czasem wrażenie, że powstał z myślą o katechetach. Oto, jako przykład, mały fragment wywodów von Balthasara. „Zapytajmy w którejkolwiek klasie licealnej, na Zachodzie czy Wschodzie, co młodym mówi słowo »katolicki«, jakie budzi skojarzenia. Usłyszymy zapewne inkwizycja, pigułka itp. Kościół (w swym najsłabszym dokumencie soborowym) »uświęcił« mass media, ale czy z ich pomocą może wyjawić Basi i Kasi swoją najgłębszą tajemnicę, jedyną, która go czyni wiarygodnym? Czy nie będzie wtedy zmuszony do ukazywania jej co najwyżej w przybliżonej tylko, udiwniającej i moralizującej (»przstępnej«) formie? I czy wtedy, zamiast wypełniać swą misję, nie będzie raczej uprawiać propagandy?» (s. 9). Te zdania odnoszą się do tematu *Świadectwo niewiarygodne* (s. 9–10) i włączone są do zastanowień nad wiodącym pytaniem części wprowadzającej: *Czy „powszechne” jeszcze nam coś mówi?* Na każdej niemal stronie napotyka się zresztą na sformułowania, które, rzec by można, mrozą krew w żyłach – tak stymulują do myślenia i tak bardzo zobowiązują do korygowania swoich zastarzałych schematów myślowych. Ale takie jest i na tym polega dobrodziejstwo obcowania z wielkością.

Duży artykuł można by napisać, np. na temat jednego, właśnie korygującego owe schematy myślowe i stymulującego refleksję, stwierdzenia von Balthasara: „Nasza epoka jest obrazoburczą” (s. 14). Ileż głębokich treści zdołał on umieścić na jednej stronie, na której wyjaśnia swoje w tym względzie przekonania!

W ten z grubsza sposób, z pilną uwagą należałoby wczytywać się w zdania wszystkich stron tej małej książeczki napisanej przez wielkiego teologa, który pisał ją, bo miał coś ważnego do powiedzenia czytelnikowi. Niepodobna spokojnie, bez poruszenia mózgu i serca – i wiary przechodzić w lekturze ze strony na stronę. Rzeczywiście, miał rację von Balthasar, który uprzedzał biorącego tę książkę do rąk, że nie znajdzie w niej tego, co może i powinien szukać w podręcznikach teologii. Ale, powiedzmy, jeśli lektura podręczników jest na ogół nużąca, tę rzecz czyta się z rosnącą radością. I przeczytać się powinno. Wielokrotnie. Ten, kto przestudiował już teologię i chciałby się w nią jeszcze wgłębić, a nie tylko zadowolić pozytywną notą w indeksie studenckim ze zdanych egzaminów, będzie wdzięczny von Balthasarowi za ten wielki drobiazg: za rozdziały o powszechności Kościoła, za medytację nad jego posłaniem i strukturą, świętych obcowaniem, nad apostołskością Kościoła, nad Wcieleniem (rozdział niebywały!) i nad ekumenią.

Przytoczmy na koniec jedno zdanie z rozdziału o Wcieleniu (*Incarnatus est*, s. 71–77). „Religia to świat zmierzający ku Bogu. Chrześcijaństwo to Bóg, który idzie do świata, i ludzie, idący do Niego przez wiarę. Katolicyzm jest chrześcijaństwem, w którym Bóg przemierza tę drogę w całości, aż do jej gorzkiego, a ostatecznego błogosławionego końca” (s. 71).

ks. Tadeusz Sikorski

Yves Congar OP, *Kościół, jaki kocham*, tłum. Arkadiusz Ziernicki, Kraków 1997, ss. 118.

Znowu, dzięki Bogu, mamy odrobinę Congara po polsku. A już było tęskno do niego. Wprawdzie stosunkowo niedawno Wydawnictwo Księży Marianów z Warszawy uraczyło nas jego trzytomową sumą teologiczną o Duchu Świętym (*Wierzę w Ducha Świętego*, 1995–1996), ale jeśli jest prawdą, że apetyt rośnie w miarę jedzenia, trudno, żeby te trzy grube tomy na długo zaspokoili głód czytelnika, zwłaszcza jeśli złakniony jest wybornej, wielkiej teologii nieżyjącego już „męczennika” Kościoła. I zwłaszcza, jeśli się wie, że ten „męczennik” nigdy się nie obnosił ze swoim cierpieniem, lecz niezmiernie, w każdej okoliczności życiowej, wyznawał swoją miłość Oblubienicy, którą darzył niepodzielnym uczuciem *caritatis*.

To, że cierpiał, jest pewne. I to, że Oblubienicę, która zadawała mu wiele nie zasłużonego Bólu, miłował bezgranicznie, też nie ulega wątpliwości. Można się o tym dowodnie przekonać przypominając sobie Congarowe *Życie dla prawdy*, wywiad rzekę, którego udzielił Jeanowi Pujou (1975), a który pięknie przetłumaczył i wydał w ówczesnym Instytucie Wydawniczym PAX nabożny Adam Paygert (1982). To było chyba jedyne publiczne wyznanie Congara, spowiedź niejako, twardego człowieka z Sedanu, nieskorego do osobistych wynurzeń. Ale bardzo wiele detali z życia tego prawdziwego bretończyka przez swojego dziadka, nieskorego do zwierzeń, znajdzie się w tym wywiadzie, istnej rzeczywiście rzece (ss. 202), zwłaszcza jego umiłowanie Kościoła. Nigdzie indziej niepodobna by na nie natrafić. I nigdzie indziej nie sposób byłoby się doszukać informacji o ciężkich kolejach życia dominikanina, mistrza teologii (*maître en théologie*), który odsunięty od katedr uniwersyteckich, pozbawiony nawet jurysdykcji do spowiadania, nie załamywał się i bezustannie pracował.

Spotkałem go w Strasburgu, gdzie spędzał część doli wygnańczej, zyczliwie przyjęty przez ówczesnego ordynariusza diecezji, sulpicianina i dawniejszego profesora egzegezy biblijnej J. J. Webera, pastera, którego wszyscy miłowali bez reszty. Congar mieszkał w Strasburgu w klasztorze Domi-